

*W życiu przeznaczenie czasem czeka ukryte pod doniczką paprotki.  
Magiczna, choć jakże prawdziwa, opowieść o kobiecie,  
która znajduje swoje miejsce na ziemi. Historia, o której pomyślicie:  
chciałabym, żeby była moja...*

*Maria Ulatowska*

---

*Sosnowe dziedzictwo*  
*preludium*

*Szyszka z Sosnowki*

*Sosnowe dziedzictwo*  
w księgarniach od 8 lutego 2011

---

Prószyński i S-ka

## *Początek znajomości*

Było przepięknie, las szumiał, jak to las, ptaki śpiewały, jak to ptaki, a jezioro lśniło w słońcu. Anna wypatrzyła spory pniak (kto tu ścina drzewa? – zastanowiła się) i usiadła na nim, wyciągnąwszy z kieszeni rogalik, kupiony po drodze w sklepiku przy stacji benzynowej. Zaczęła jeść i... zamarła. Z tyłu coś zaszeleściło. Odwróciła się i wstrzymała oddech. Przed nią siedział pies. Najbrudniejszy, jakiego w życiu widziała. I bardzo kudłaty. Przednią łapę trzymał w górze, oczy wlepił w rogalik.

– Co, biedaku, głodny jesteś? – zapytała cicho Anna.

Koniuszek psiego ogona drgnął lekko, ale gdy Anna podniosła się z pnia, by podejść do zwierzaka, ten rozplaszczyl się na ziemi, nie odrywając spojrzenia od smakołyku. Nie ruszyła się z miejsca, nie chcąc straszyc psa, i odłamała kawałek rogalika.

– Zjesz to? – spytała. – Nie mam tu nic innego – powiedziała łagodnie, wyciągając rękę z rogalikiem.

Pies podpełzł bliżej, Anna rzuciła więc rogalik w jego stronę. Złapał go w locie i połknął, nawet nie gryząc. Przednia łapa musiała go jednak boleć, bo aż pisnął, gdy oparł ją na ziemi.

– Pokaż łapkę, piesiu, pokaż. – Anna z wolna podchodziła bliżej, a pies już nie uciekał, przyplaszczyl się tylko do ziemi i drżał nerwowo.

Podeszła bliźniutko, ukucnęła i zaczęła delikatnie, łagodnie gładzić go po łbie. Pies po chwili przestał drżeć. Zobaczyła, że łapa niewątpliwie jest opuchnięta, jednak oblepiający ją brud uniemożliwiał dokładniejszą ocenę. Zresztą Anna i tak sama nie umiałaby nic zrobić, tym bardziej, że gdy dotknęła psiego nosa, stwierdziła, że zwierzak może mieć gorączkę, nos bowiem był suchy i ciepły.

– No, piesku, jedziemy do lekarza – oznajmiła, zastanawiając się, dokąd właściwie pojechać. Ach, mecenas Witkowski na pewno będzie wiedział, ucieszyła się, wyciągając telefon z kieszeni spodni. Ale telefon prawnika nie odpowiadał. Cóż, mecenas ucztował

w „Rybeńce”, o czym Anna nie wiedziała – i dzwonek po prostu nie słyszał.

A, co tam, jedziemy, znajdzie się ktoś, kto nam wskaże drogę, zdecydowała, przypominając sobie „parkingowego” z rynku. On z pewnością wie, gdzie w pobliżu jest jakaś lecznica weterynaryjna.

Pies siedział grzecznie na trawie i wpatrywał się w Annę.

– Pójdiesz ze mną? – spytała, odchodząc kawałek.

Zwierzak nie ruszył się z miejsca.

– No chodź – klepnęła ręką w udo, ruchem, który powinien być znany każdemu psu. Niestety, jej (jej?) pies ani drgnął. Miał tylko jakby smutniejszą minę.

Anna podeszła więc i wzięła go na ręce, nie myśląc nawet o tym, że zwierzak mógłby ją ugryźć. On jednak nie miał najmniejszego zamiaru gryźć, przeciwnie, z szerokim zamachem liźnął ją w nos i wtulił pysk w jej szyję...

## *Kilka dni wcześniej*

Pan Szymon Sobiesiak nie był najmiłszym człowiekiem. Zawsze „wiedział swoje” – a ponieważ był szefem firmy, nikt nigdy jego zdania nie podważał. Żona także nie, choć może niejednokrotnie chciałaby. Jednak wszelkie nieśmiałe próby samodzielności, podejmowane przez panią Sabinę na początku małżeństwa, były przez jej małżonka skutecznie tłumione w zarodku. A więc bardzo szybko takich prób zaprzestała. Nawet posłusznie urodziła syna – jak oczekiwał od niej mąż – choć ona, w głębi duszy, wołałaby córeczkę.

Odchowala Marcinka, poszła do pracy i rozpoczęła przygotowania do najważniejszej batalii swojego życia. Mianowicie – zawsze marzyła o psie. Mąż, niestety, cały czas był temu przeciwny. Jednak pani Sabina, po prawie dziesięciu latach małżeństwa, trochę już nauczyła się postępowania ze swoim panem i władcą. Najpierw doprowadziła do tego, żeby marzenie o posiadaniu psa stało się też marzeniem ich

syna. Marcin, jako oczekiwany potomek rodzaju męskiego, spadkobierca i „nosiciel” nazwiska, był oczkiem w głowie ojca i pan Szymon w zasadzie spełniał wszelkie jego zachcianki, nawet czasami irtując tym żoną.

Teraz jednak pani Sabina postanowiła tę słabość męża wykorzystać. I tak długo – wraz z „zaprogramowanym” już Marcinem – błagali i prosili ojca, aż wreszcie zgodę na tego psa wyżebrali. Tym bardziej że akurat oszczeniła się suczka koleżanki pani Sabiny.

Pan Szymon w wielkiej łaskawości pozwolił na wzięcie szczeniaka. Pani Sabina wybrała suczkę, a zachwycony Marcin nadał jej imię Kulka, bo była bardzo puszysta.

Ojciec Marcina nie przewidział wszakże tego, że szczeniak to żywe stworzenie, a nie pluszowa zabawka i że takie stworzenie może zdrowo w domu napsocić. A Kulka psociła, no cóż! A to na dywan nasiusiała, a to gazetę mu pogryzła, wodą ochlapała podczas kąpieli, skarpetki pod kanapę wepchnęła – i takie tam różne.

Na dodatek pan Szymon ze zdenerwowaniem spostrzegł, że zaczyna w domu schodzić na drugi plan, a na pierwszym miejscu – i dla żony, i dla syna – jest suczka.

O, tego już o wiele za dużo! Tego domowy pan i władca znieść nie mógł. Co to w ogóle ma znaczyć – o, nie, tak nie będzie!

Zacma jakaś na mózg mi się rzuciła, pomyślał, żeby godzić się na psa w domu. Muszę zrobić z tym porządek.

I wymyślił plan.

\*

– No więc, chłopaki, to ma być tak zrobione, żeby broń Boże nikt nic nie zauważył i żeby wyglądało na to, że ona sama gdzieś uciekła. A tu macie po tysiąku zaliczki. Pozostałe cztery tysiące – po zakończonej akcji – tłumaczył pan Szymon dwóm swoim podwładnym, pracownikom jego firmy budowlanej.

– Szefie – spytał jeden z nich. – A co mamy z nią zrobić?

– A co wam przyjdzie do głowy. Najlepiej wywieźć gdzieś, tylko daleko, ze sto kilometrów, żeby nie trafiła z powrotem. Albo utopcie gdzieś, no zróbcie, co chcecie. Pies ma zniknąć, i to niedługo. Rozumiemy się? – spytał pan Sobiesiak.

– Tak jest, szefie – zameldowali Wybrani.

– Ty, utopić? Na to się nie piszę, szef chyba oszalał – powiedział jeden z Wybranych, nie zastanawiając się, że może ten drugi doniesie na niego szefowi.

– Nie, nie, topić nie będziemy, mowy nie ma. – Drugi Wybrany był jednak tego samego zdania. – Ale wywieźć gdzieś musimy, no bo jak nam stary kazał, to nie odpuści. Wyszukamy jakieś miasteczko i wypuścimy ją na rynku, ktoś ją na pewno przygarnie.

– Najpierw musimy jakoś ją złapać.

Pojechali obejrzeć park, do którego chodził Marcin, syn szefa, bawić się z suczką. Sprawa nie była łatwa, bo przecież do parku samochodem wjechać nie mogli, a nie wiedzieli, jak zwierzaka przywołać, żeby nie zauważył tego jej właściciel, czyli Marcin.

Przez kilka dni obserwowali zabawy w parku. Czasami chłopcy grali w piłkę i wtedy pies był mniej pilnowany, choć w zasadzie biegał między zawodnikami, „grając” z nimi. Ale czasami suczka odchodziła od chłopców, kładła się na trawie albo baraszkowała z jakimś innym psem, o ile taki się gdzieś w pobliżu pojawił.

Obmyślili więc makiaweliczny plan. Mieli zacząć się gdzieś w krzakach, wyczekać na moment, w którym suczka odbiegnie od chłopców, zwabić ją do siebie – kupili w tym celu mocno pachnącą kiełbasę – złapać i błyskawicznie wsadzić do dużego, jutowego, worka. Potem – do samochodu i w drogę.

Nie wiedzieli jeszcze, gdzie jechać, szef kazał, żeby to było daleko, więc oglądali mapę. W końcu wynaleźli miasteczko Towiany, wydało im się idealne, dość daleko oddalone od Torunia, wśród lasów i blisko kilku jezior. Miejsce, w którym – oprócz mieszkańców – przebywają też wczasowicze, więc pies miał tam szansę na znalezienie jakiegoś nowego właściciela.

„Proszę”, a tak naprawdę polecenie, swojego szefa wykonywali bez szczególnego entuzjazmu, ale cóż, pracować gdzieś musieli, więc nie mogli narazić się na wyrzucenie z roboty. Oznaczało to, że psa musieli wywieźć.

Chodzili więc do tego parku kilka dni z rzędu, codziennie kupując świeżą kielbasę, ale jakoś nie trafiała się odpowiednia chwila.

Wreszcie szef wezwał ich do swojego gabinetu i z wściekłą miną zaczął wypytywać, dlaczego sprawa jeszcze nie została załatwiona.

– Wiecie, co to bydlę wczoraj zrobiło? – zaczął opowiadać. – Pogryzła moją fajkę! Fajkę! Rozumiecie? Tę, którą sobie z Maroka przywiozłem. Tyle razy mówiłem żonie i synowi, że drzwi od mojego pokoju mają być zamknięte. I co? I gadam jak do ściany. Jeszcze baba na mnie wyskoczyła, że powinienem chować te swoje różne ukochane klamoty, a nie zostawiać tam, gdzie pies może dosięgnąć. Ale ten cholerny pies wszędzie może dosięgnąć, bo co to dla niego wskoczyć na krzesło na przykład.

– Szefie, niech się szef nie denerwuje – próbował uspokoić zwierzchnika jeden z Wybranych. – No, mamy już akcję opracowaną i lada dzień pies zniknie.

– Byle szybko, bo już mi się cierpliwość kończy! Na dodatek ta moja baba oszalała na punkcie zwierzaka chyba bardziej niż Marcin i – obraźcie sobie – ostatnio pozwala na to, żeby do łóżka dzieciak go zabierał. Brudnego psa!

– Szefie, dzień, dwa i szlus! Mur, beton, no, słowo! – zapewnili prawie chórem obaj Wybrani. – Niech tylko syn chodzi z psem do tego parku.

– Chodzi, chodzi przecież codziennie, sam go do tych spacerów namawiam. Szkoła jeszcze się nie zaczęła, na żaden urlop już nie jedziemy, więc chodzi do parku, co ma robić? – opowiadał pan Szymon. – Tyle dobrego tylko z tego psa wyszło, że po raz pierwszy mogłem sam na wczasy wyjechać. Popłynąłem z kumplami statkiem w taki rejs

po Morzu Śródziemnym. A żona z dzieciakiem i psem siedzieli u teściowej, na wsi. I wszyscy byli zadowoleni. Ale już koniec tego dobrogo, mówię po raz ostatni – pies znika w ciągu kilka dni, bo jak nie... – nie skończył zdania, ale nie musiał, jego Wybrańcy rozumieli przecież, w czym rzecz.

– Słuchaj, jutro to załatwiamy, jakoś musimy, bo przecież sam widzisz, jak stary się wścieka. Łby nam pourywa. Umawiamy się jutro o drugiej, dzieciak tak mniej więcej o tej porze jest w parku. – Wspólnicy uściśniły sobie ręce i każdy poszedł w swoją stronę.

I następnego dnia – cóż, tak się złożyło – ich niecny plan się powiódł. Kulka biegła z chłopcami za piłką, potem poszła położyć się w cieniu, pod krzakami. Raptem z tych krzaków powiało jakimś wspaniałym zapachem, a taki jeden miły pan przywoływał ją:

– Chodź, sunia, chodź, dostaniesz kielbaskę.

„Kielbaska” to było słowo, które Kulka dobrze rozumiała, więc ufnie pobiegła w stronę „smacznego” zapachu. Niestety – zamiast kielbaski spadło jej na głowę coś szorstkiego, mocno złapały ją jakieś ręce, ścisakając jej pyszczek tak, że nawet pisnąć nie mogła – i gdzieś ją ponieśli. Została ciśnięta na coś twardego, panowie Wybrani wrzucili ją po prostu do bagażnika. Ruszyli szybko samochodem, chcąc odjechać jak najdalej od parku. Po kilku kilometrach mieli zamiar wyzwoić suczkę z worka, żeby się nie udusiła, ale na razie musieli odjechać, po pierwsze dlatego, żeby nikt nie skojarzył ich samochodu i nie przypomniał sobie, że czarny mercedes stał pod parkiem. A po drugie dlatego, żeby pies nie piszczał i nie szczekał, bo mógłby tym wzbudzić czyjeś zainteresowanie.

– Widzisz, dobrze nam poszło – cieszył się ten, który prowadził samochód. – I miałeś dobry pomysł z tą kradzieżą tablic rejestracyjnych. Nawet jak nas ktoś pod parkiem zauważył, to tablice niedługo wyrzucimy i mogą sobie szukać.

– Ale wiesz co? – Ten drugi przemyślał sprawę. – Jak tylko odjedziemy jeszcze kawałek, to zatrzymaj się i zmienimy tablice na nasze, bo jakby – co odpukać – jakaś policja nas zatrzymała, musimy przecież mieć prawdziwe numery. A potem przed wjazdem do tych Towian znowu zamienimy tablice, bo jeśli nawet ktoś zauważy, że wyrzucamy psa z samochodu i zechce zapisać numery, niech sobie zapisuje. Co nie?

– Stary, ty masz łeb – pochwalił go kolega.

– A, wiesz – przyznał się skromnie „łebski” – kiedyś taki film widziałem, to zapamiętałem.

Po wyjeździe z Torunia zatrzymali się więc na chwilę, wjeżdżając kawałek w las. Wymienili tablice, wyciągnęli przerażoną Kulkę z worka i przywiązali jej do obroży kawałek grubej linki. Smycz została w parku, na trawie, obok grających w piłkę chłopców, ale obrozę suchka miała na szyi.

– Ty, suka – powiedział do niej pierwszy wybrany – sikaj tu, w tym lesie, bo w samochodzie nie wolno.

Usiłował pochodzić z suchką trochę po lesie, chcąc ją zmobilizować do załatwienia sprawy, ale Kulka była zbyt wystraszona, żeby normalnie reagować. Rozpląszczyła się na ziemi i w ogóle nie chciała wstać.

– Dobra, nie, to nie – powiedział jej dręczyciel. – Ale spróbuj tylko nasikać w samochodzie, to cię tu w tym lesie do drzewa przywiążemy i zostawimy.

Złapał suchkę pod pachę i wrzucił na tylne siedzenie.

– Gdzie ją tu wsadzasz? – warknął drugi wybrany. – Zabrudzi nam siedzenia, a nie daj Boże, jeszcze jakąś kupę nawali albo co. Głupi jesteś? Wsadź ją z powrotem do bagażnika.

– A, wiesz, jakoś cały czas mam stracha, że gdzieś nas jakaś policja zatrzyma – odpowiedział Ten Pierwszy. – I jak zajrzą do bagażnika, to co im powiemy? Że niby dlaczego psa tam wieziemy? Jakiś przesądny ostatnio jestem.

– No dobra, ale jak narobi na siedzenie, ty sprzątasz.



Kulka jednak nic nie narobiła, wtuliła się w kącik przy szybie i siedziała przyplaszczona do siedzenia. Nie podobało jej się to, co się działo, bała się i trzęsła.

W końcu Panowie Wybrani, bez przeszkód i bez żadnych kontroli policyjnych, dotarli do Towian. Przed miastem zatrzymali się znowu na chwilę w lesie, zamienili tablice, zakładając te ukradzione.

Ten, który nie prowadził samochodu, usiadł teraz z tyłu, zdjął Kulce obrożę z przywiązaną do niej linką i przygotował się do wypchnięcia zwierzaka z samochodu.

Postanowili, że – jeśli to będzie możliwe – wyrzucą sukę na rynku, zakładając, że w każdym tego rodzaju niedużym miasteczku jest jakiś rynek. W Towianach, oczywiście, rynek był. Nawet całkiem spory, z ładnym, ukwieconym skwerkiem na środku. Objechali rynek dookoła i w pewnym miejscu – tam, gdzie akurat było najmniej ludzi – ten kierujący samochodem bardzo zwolnił.

– Hamuj! – wrzasnął. – Otwieraj drzwi i wyrzucaj sukę!

Tak więc się stało. Oszołomiona Kulka przetoczyła się przez ulicę, wylądowała na chodniku, otrząsnęła się i w pierwszym, psim odruchu zaczęła biec za samochodem. Ale ten zniknął za rogiem. A biedna suczka usiadła na tyłeczku, okropnie oszołomiona i wystraszona – i dopiero teraz poczuła, że musi zrobić siusiu. Ukucnęła więc – tam, gdzie wylądowała – i zrobiła, co musiała.

– A ty kundlu obrzydliwy jeden – wrzasnęła na nią jakaś paniusia, wymachując parasolką. – Gdzie ty brudzisz, paskudo jedna! Czyj to pies? – Rozejrzała się wokoło, ale nikt się nie przyznawał, a przestraszony pies pognął przed siebie.

\*

– Szefie, meldujemy wykonanie zadania. – Panowie Wybrani stali w gabinecie zwierznika, wielce z siebie zadowoleni.

– No, wiem, bo już mam w domu piekło. Stara i dzieciak ryczą od wczoraj, że pies zginął. Musiałem udawać, że też się przejmuję,

do późnej nocy jeździliśmy po mieście, szukając zguby. Macie tu resztę kasy i sprawy nie było, rozumiemy się?

– Oczywiście, proszę pana. Niech pan może tylko przez jakiś czas rodziny na jakieś wakacje nad Gopło nie zawozi, bo pies został wyrzucony w Towianach. To takie miasteczko nad Gopłem, daleko stąd. Na pewno nie trafi z powrotem.

– Chłopaki! – zaśmiał się ich przełożony. – Nad jakie Gopło? My na urlopy tylko za granicę jeździmy. Koniec rozmowy, do roboty.

– Tak jest, odmeldowujemy się. – Wybrani stuknęli obcasami i odmaszerowali. Sprawa zakończona, sami to doskonale rozumieli.

## *Towiany*

Suczka była przerażona, zestresowana i głodna. Nie miała pojęcia, co ma robić. Biegała między drzewami, przypominając sobie miejsce, w którym grała z Marcinem i jego kolegami w piłkę – tam też było sporo drzew. Wyobraziła więc sobie, że i tu znajdą się jakieś dzieci, które na pewno dadzą jej coś do jedzenia. Jednak dookoła były tylko drzewa. Kulka wróciła więc w to miejsce, w którym widziała ludzi, mając nadzieję, że ktoś się nią zajmie.

Niestety, nikt się nią nie zainteresował, każdy przechodził obok, zajęty swoimi sprawami.

Coraz bardziej głodna błąkała się po rynku i nagle dotarła do niej rozkoszna woń – gdzieś pięknie pachniało jakieś mięsko. Skierowała się więc w tamtą stronę. Zapach dochodził z jakiegoś miejsca, do którego wchodził i wychodził ludzie.

– Proszę, proszę, pięknie się kłaniam, zapraszamy do „Rybeńki” – usłyszała i ujrzała jakiegoś pana, który otwierał drzwi do tego pachnącego mięskiem pomieszczenia, a potem odprowadzał ludzi do samochodów.

– Dziękujemy, panie Dyziu – odpowiadali ludzie, wsiadali w samochody i odjeżdżali.

Za którymś razem, gdy ten pan Dyzio otwierał drzwi przed kolejnymi ludźmi, spróbowała wcisnąć się do środka. Niestety, została skrzyżczana i przepędzona.

– Panie Dyziu – powiedział wsiadający do samochodu Karol Majewski, asystent mecenasa Witkowskiego, właściciela kancelarii prawnej „Antoni Witkowski – prawo na co dzień”. – Niech pan tak nie krzyczy na tego psa, on pewnie jest głodny. Chyba się zgubił, czy co, bo wygląda na wystraszonego.

Karol miał bardzo dobre serce i lubił wszystkie zwierzęta, a ten piesek jakoś wyjątkowo wzbudził w nim współczucie. Pies miał po prostu w oczach prośbę: „dajcie mi coś do jedzenia”, a takiej prośbie Karol nie mógł się oprzeć.

Wszedł do sklepu spożywczego, który mieścił się obok apteki, na rynku – i kupił spory kawałek kaszanki oraz pęto kielbasy.

Niestety, gdy wyszedł ze sklepu, psa nie było.

– Panie Dyziu, gdzie podział się ten pies? – spytał Dyzia, który był na towiańskim rynku samozwańczym parkingowym i dyrygował ruchem samochodów tamże, szczególnie w okolicach „Rybeńki”, najlepszej restauracji w całych Towianach, jak mawiał szef Karola, mecenas Witkowski. A mecenas Witkowski był smakoszem, co się zowie, więc skoro on tak twierdził, to tak było na pewno!

– Jaki pies? – zapytał Dyzio, który był tak zajęty, że całe zajście z Kulką w ogóle umknęło jego uwadze. O tej porze w „Rybeńce” przemieszczało się najwięcej gości i jego, Dyzia, zadaniem, było takie umiejscowienie tych wszystkich zajeżdżających przed restaurację samochodów, żeby każdy mógł się do tej restauracji dostać. Nie było to trudne, bo rynek w Towianach nie był taki duży, więc w zasadzie z każdego miejsca do restauracji nie było daleko. Ale ludzie, jak to ludzie – każdy chciał stanąć dokładnie naprzeciwko restauracji, i już.

Na dodatek czasami jakiś beczelny turysta stawał na miejscu zarezerwowanym dla gości „Rybeńki”. Miejsc tych było tylko cztery i Dyzio miał za zadanie pilnować, żeby stawali na nich tylko i wyłącznie

goście restauracji – zgodnie z przeznaczeniem tych miejsc i ich specjalnym oznakowaniem. No więc, gdy taki turysta, parkujący na zarezerwowanym dla „Rybeńki” prostokącie wcale nie zamierzał do restauracji wchodzić, tylko udawał się w inną stronę, Dyzio, stosując różnego rodzaju argumenty, tłumaczył mu niestosowność takiego zachowania. Na ogół Dyziowe argumenty wszystkich przekonywały, może i dlatego, że miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wymownie czyścił paznokcie sporym i niewątpliwie ostrym śrubokrętem.

Tak więc Dyzio na żadnego psa nie zwrócił uwagi, a nawet, jeśli jakiś tam był, to teraz go nie ma – nie widać przynajmniej.

Karol Majewski był trochę rozczarowany, bo jeszcze miał przed oczami głodne spojrzenie biednego zwierzaka. Postanowił więc pochodzić trochę po rynku i porozglądać się dookoła. Miał nadzieję, że jeśli ten pies się zgubił, to będzie się tu błąkał i prędzej czy później pojawi się z powrotem na rynku.

A mecenas Witkowski, stojąc przy oknie swojej kancelarii, która mieściła się dokładnie naprzeciwko „Rybeńki”, patrzył z niedowierzaniem, jak jego asystent, zamiast wrócić do pracy, chodzi po rynku, kupuje coś w sklepie, konferuje z Dyziem i znowu chodzi po rynku.

– Zgłupiał chłopak, czy co? – burczał mecenas sam do siebie, w ogóle nie rozumiejąc tego, co widzi.

W końcu otworzył okno i wychylając się, zawołał Karola. Było to coś niesłychanego, więc ci mieszkańcy Towian, którzy mieli zwyczaj przesiadywać na skwerku, rozmawiając między sobą lub po prostu czytając gazety, gapili się ze zdumieniem w wychyloną z okna postać mecenasa Witkowskiego.

– Karolu! – krzyczał mecenas. – Chodźże wreszcie!

Ale Karol dostrzegł psa, którego wypatrywał. Zwierzak siedział za kioskiem z gazetami, wpatrując się przestraszonym wzrokiem w stronę pana Dyzia, jak gdyby miał nadzieję, że ten cerber odejdzie wreszcie od miejsca pachnącego mięskiem i będzie można jakoś tam się dostać.

– Piesku! – zawołał cicho Karol i podszedł wolno, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, nie chcąc go przestraszyć. – Piesku, mam dla ciebie kiełbasę – powiedział i zaczął rozwijać pakunek ze sklepu.

Ale pies, widać wystraszony dogłębniej, umknął spod kiosku. Nie pobiegł jednak daleko, bo może poczuł zapach jedzenia, i stojąc obok z przekrzywionym łebkiem, obserwował, co się dzieje.

Karol rozpakował kaszanke i kiełbasę, a potem położył je na ziemi, na papierze ze sklepu. Pies nie drgnął, widać jednak było, że wywąchał kiełbasę, bo nos mu się ruszał we wszystkie strony, a i koniuszek ogona zaczął drgać lekko.

Karol więc zaczął się cofać, widział bowiem, że pies boi się podejść.

Mecenas Witkowski o mało nie wypadł z okna, musiał bowiem bardzo się wychylić, żeby wszystko zobaczyć.

– No, niewiarygodne – oświadczył, zwracając się do swoich prawniczych ksiąg, bo poza nimi i nim nikogo więcej w kancelarii nie było – chłopak jest już pół godziny spóźniony. Jakiś instynkt opiekuńczy czy jakby tam to nazwać, w nim się obudził. Lata za jakimś kundlem i daje mu jedzenie. Choć, trzeba przyznać, zwierzak jest ładny – zadumał się mecenas, który sam bardzo lubił psy. A już jego żona, Krystynka, po prostu za nimi przepadała i od paru lat suszyła mu głowę, żeby kupili jakiegoś psa. Mecenas jednak wciąż się od tego wymigiwał, bo przecież obydwójce pracowali i trudno byłoby im się wywiązywać z opieki nad psem. Ale pani Krystyna niedługo przechodziła na emeryturę i wówczas, kto wie...

Raptem trzasnęły drzwi od kancelarii i do środka wpadł zgrzany i rozemocjonowany Karol.

– Najmocniej przepraszam, panie mecenasie, za spóźnienie, ale...

– Wiem, wiem, widziałem – przerwał mu zwierchnik. – Wyglądałem przez okno. Nawet cię wołałem, ale nie słyszałeś.

– Wyglądał pan przez okno? Wołał pan mnie? – Karol był wstrząśnięty. Jego szef był uosobieniem spokoju i dystynkcji i takie czynności, jak wyglądanie przez okno oraz nawoływanie kogoś przez to okno, nie mieściły się w ogóle w *image'u* mecenas.

– No tak, i co się tak dziwisz? – zirytował się pan Witkowski.  
– A w ogóle co to za pies i czemu tak się nim przejąłeś?

Podeszli obydwaj do okna i spojrzeli w stronę kiosku. Pies wylizywał papier, na którym „podano mu do stołu”. Jakby wyczuwając czyjś wzrok, spojrzął w stronę kancelarii, dostrzegł w oknie Karola i mecenasa – i, naprawdę, uklonił się w podzięcie. A przynajmniej – tak to wyglądało. I tak zresztą odebrali to obydwaj panowie.

– Widział pan, panie mecenasie? – spytał szaleńczo przejęty Karol. – Ten pies nam się uklonił.

– Podziękował ci za jedzenie – skwitował mecenas, też pozostający pod wrażeniem ruchu, który wykonał w ich stronę pies.

Spojrzeli ponownie, ale psa już nie było.

\*

Kulka, pokrzepiona niespodziewanym podarunkiem, postanowiła poszukać teraz czegoś do picia. To jednak nie było takie trudne, ponieważ na środku skwerku, wokół którego rozciągał się towiański rynek, tutejsze władze, bardzo o swoje miasto dbające, całkiem niedawno kazały postawić prześliczną fontannę, tryskającą czystą wodą. Kulka wspięła się więc na łapki, opierając je o obramowanie fontanny, pochyliła lekko łebek i już mogła się napić do woli. Na szczęście jakoś nikomu z siedzących na skwerku ludzi to nie przeszkadzało.

Suczka pobięgała trochę dookoła, jakby w nadziei, że znajdzie kogoś, kogo zna, albo przynajmniej kogoś, kto jej powie, co ma teraz robić.

Nikt jednak na nią nie zwracał uwagi. Pobięgała więc przed siebie, aż za miasto, do lasu, wtuliła się w miękki mech, wciśnięta głęboko pod jakieś krzaki – i, zmęczona przeżyciami całego dnia, głęboko zasnęła.

Następnego dnia znowu pobięgała w stronę rynku, wiedziała bowiem, że tam, gdzie są ludzie, tam też jest jedzenie. Miała nadzieję, że może dzisiaj też spotka tego miłego pana, który wczoraj dał jej kielbasę.

Jednak mecenas Witkowski z Karolem od rana byli we Włocławku, gdzie mieli kilka spraw, a „dyżurujący” w kancelarii prawnej współ-

nik nawet nie miał pojęcia o wydarzeniach poprzedniego dnia i o tym, że po rynku błąka się jakiś głodny pies.

Kulka krążyła wokół „Rybeńki”, nęcąca dolatującymi stamtąd zapachami, pamiętając, że to z tego miejsca wyszedł wczoraj pan, który ją nakarmił.

Niestety, dzisiaj nikt z wchodzących i wychodzących z restauracji gości, nie zauważał kręcącego się obok psa. Kulka natomiast, widząc stojącego tam niezmiennie pana Dyzia, bała się podejść bliżej.

W pewnej chwili obok „Rybeńki” zaparkował duży samochód, z którego wysiadło dwóch sympatycznie wyglądających panów.

– Jacek! – powiedział jeden z nich. – Popatrz, to chyba ten pies, którego wczoraj z samochodu jakieś bydlaki wyrzuciły.

Pan, zwany Jackiem, zrobił kilka kroków w stronę psa i wyciągnął do niego rękę. Ale Kulkę jakoś ten ruch wystraszył, odskoczyła więc i uciekła.

– Patrz, Czesiek, ludzie to bydlaki są jednak, nie? – powiedział Jacek, zwracając się do brata. Jacek, Czesiek i nieobecny tu Tadeusz Konieczni, byli najlepszą ekipą remontowo-budowlaną w Towianach. Zresztą nie tylko w Towianach – w całej okolicy. Wszyscy Konieczni lubili zwierzęta, i to, co widzieli – a widzieli, jak z czarnego mercedesa wyrzucono psa, po czym samochód natychmiast odjechał – oburzyło ich tak bardzo, że panowie, którzy to zrobili, mieli szczęście, iż w owej chwili bracia Konieczni nie siedzieli w swoim samochodzie. Gdyby bowiem tak było, pogналиby za tym mercedesem – i mercedes, czy też nie – dogoniliby go z pewnością. A wtedy... no, Koniecczaki, jak ich tu nazywano, byli jeden w drugiego – chłopcy na schwał. Starliby po prostu tych bydlaków na proch. Lub nawet na proszek.

Ale teraz już nic zrobić nie mogli. A pies jakoś zniknął im z oczu.

Kulka znowu biegała po całym mieście, ale nigdzie nic dobrego jej nie spotkało. Gdzieś w okolicy miejskiego kosza, znalazła niedojedzoną suchą bulkę, połknęła ją więc na jeden raz, ale nie nasyciła się takim jedzeniem.

W końcu, chcąc trochę odpocząć, położyła się pod ławeczką na jakimś skwerku (skwerków było w Towianach kilka, miasto było zielone i ukwiecone) i zasnęła.

Obudził ją jakiś kobiecy głos.

– Co ty tu robisz, piesku? Czyj jesteś? Zgubiłeś się? – Pod ławkę zajrzała miła młoda dziewczyna. Kulka jakoś się jej nie wystraszyła, ale przecież nie umiała odpowiedzieć na te pytania. Polizała jednak wyciągniętą do siebie rękę, czym wywołała całą lawinę zachwyków.

– Och, jaki ty grzeczny jesteś. I jaki śliczny. Zaraz, zaraz, może naprawdę się zgubiłeś i jesteś głodny? – pytała Katarzyna Janik, córka miejscowego internisty, kierowniczką biblioteki, mieszczącej się po drugiej stronie skwerku.

Katarzyna szła właśnie do pracy i przed biblioteką wyciągnęła klucze z torebki, a te klucze wypadły jej z ręki. Schylając się po nie, dostrzegła kudłatego pieska skulonego pod ławką. Wyglądał jak kupka nieszczęścia i wrażliwe serce Katarzynki ścisnęło się ze współczucia. Nie mogła, no po prostu nie mogła przejść obojętnie obok biedactwa, najwyraźniej skrzywdzonego przez los. Lub, co gorzej, może przez jakichś podłych ludzi. W tę drugą wersję Katarzyna wierzyła bardziej, życie znała bowiem nie tylko z autopsji (choć jej jeszcze życie jako takie nie skrzywdziło), ale – głównie znała je z książek, które pochłaniała na kopy, jako że pracowała przecież w bibliotece. Zresztą i tak pochłaniałaby je na kopy, bez względu na to, gdzie by pracowała.

Więc tego psa na pewno ktoś skrzywdził i ona, Katarzyna, ma obowiązek mu pomóc. Ale jak? Chyba najpierw trzeba go nakarmić, pomyślała i mówiąc: „piesku, poczekaj tu chwilkę”, pobiegła na drugą stronę, gdzie obok biblioteki i lecznicy weterynaryjnej był sklep spożywczy.

– Poproszę coś dla psa – powiedziała do ekspedientki.

– Dla psa? – zdziwiła się panienka zza lady. – To chyba powinna pani do lecznicy wpaść, nie do mnie. Ale nie, przecież pan doktor wyszedł gdzieś przed godziną, sama widziałam – i do tej pory nie



wrócił. Więc co ja tu pani mogę sprzedać dla psa – zastanowiła się ekspedientka. – O, mam świeże serdelki – ucieszyła się. – Dać?

– Tak, poproszę, ze cztery. – Katarzyna zapłaciła i wypadła ze sklepu.

Pies, na szczęście, był. Czekał przy ławce, wpatrzony w drzwi sklepu, jakby wiedział, że tam kupuje ktoś dla niego jedzonko. Serdelki zniknęły w okamgnieniu. Katarzyna pochyliła się, żeby pogłaskać biedaka, gdy raptem obok niej z piskiem zahamował samochód. Pies okropnie się przestraszył i czmychnął gdzieś z podkulonym ogonem.

Z auta wyskoczył Karol Majewski.

– Kasiu, to ten sam pies...

– Jaki pies? – przerwała mu wściekła Katarzyna. – Widzisz tu gdzieś jakiegoś psa? Był, owszem, śliczny, miły i grzeczny, ale wystraszyłeś go swoim kaskaderskim hamowaniem i uciekł. A ja go chciałam do domu zabrać. – Głos jej się załamał i prawie zaczęła płakać.

– Bo, widzisz – zaczął tłumaczyć Karol. – Tego psa wczoraj widziałem na rynku.

I opowiedział Katarzynie całą historię. Wspólnie doszli do wniosku, że zwierzak musiał się zgubić, może przyjechał z kimś na wczasy, pobiegł gdzieś sam i stracił orientację. I teraz się błąka po okolicy i szuka właścicieli.

Uzgodnili więc, że gdyby któś z nich tego psa zobaczyło, to trzeba go jakoś złapać, a Kasia weźmie go do domu. Mieszkała w sporej willi, z rodzicami – tatą, miejscowym internistą, i mamą, właścicielką jednej z towiańskich aptek. Rodzice na pewno nie będą mieli nic przeciwko psu, tym bardziej że już od pewnego czasu myśleli, żeby sobie jakiegoś kupić.

Kulka, cudownym zrządzeniem losu nakarmiona i dzisiaj, poszła znowu napić się z fontanny, a potem pobiegła pod „swój” krzak w lesie. Ponieważ jednak dzisiaj była mniej zmęczona, postanowiła pobuszować jeszcze trochę po lesie.

I w pewnym momencie ujrzała przed sobą jakiś dom, nawet dość spory. Ostrożnie obiegła go dookoła, ale nie dostrzegła nigdzie żad-

nych oznak życia. Nie czuła też tutaj żadnych „ludzkich” zapachów. Pobiegała jeszcze trochę, ale nic ciekawego nie znalazła, wróciła więc na swoje leśne legowisko i zasnęła.

\*

I cóż – następnego dnia znowu pobiegła na towiański rynek, pełna nadziei, że i w tym dniu ktoś ją nakarmi. Jednak, niestety, nic takiego się nie stało. Obok „Rybeńki” siedział pan Dyzio, którego już dobrze „znała z widzenia” i którego się bała, niestety. A Dyzio wcale taki straszny nie był, psy nawet lubił. Jednak nie mógł przecież żadnego psa wpuścić do restauracji. Niejeden raz różne kundły pod drzwiami się kręciły, znęcone zapachami. Czasami właściciele „Rybeńki” przed zamknięciem lokalu wynosili niedojedzone resztki i rozkładali je wokół śmietnika, na tyłach lokalu. Rano na ogół po takich odpadkach śladu nie było, a jeśli coś zostało, Dyzio miał za zadanie posprzątać, żeby wokół „Rybeńki” zawsze było czysto i porządknie.

Kulka, niestety, o tych zwyczajach „odpawkowych” nie wiedziała, ale nawet gdyby – pewnie i tak nie wygrałaby walki o jedzenie z miejscowymi bezpańskimi psami.

Dyzio, gdyby wiedział coś o losach Kulki i o tym, jak i skąd się znalazła w Towianach, pierwszy by ją nakarmił, a nawet poprosił właścicieli „Rybeńki” o coś dla psa. Jednak nie miał o niczym pojęcia, a Kulkę widział tylko raz, gdy chciała wejść do środka, odpędził ją więc z obowiązku i natychmiast o niej zapomniał. Kulka natomiast, pamiętając, że ten pan ją odpędził, więcej do niego nie podchodziła.

Dzisiaj ułożyła się w cieniu, za tym samym kioskiem, pod którym nakarmił ją Karol Majewski, mając nadzieję, że może ktoś zrobi to samo. Karola – i mecenas Witkowskiego – jednak znowu nie było w Towianach, sprawy we Włocławku przeciągały się i ponownie musieli tam pojechać.

Kulka obserwowała więc rynek, przechadzających się po nim ludzi i wszystko, co działo się w zasięgu jej wzroku.

Dostrzegła, że obok pana Dyzia przysiadła na ławeczce jakaś drobna

niewysoka pani, trzymająca w ręku coś, z czego dochodził zapach jedzenia. Suczka zaczęła węszyć i nadstawiła uszu.

– Dyziu, przyniosłam ci trochę krupniku, masz tu termos i kubek, zjadaj – powiedziała pani Irena Malinka, mieszkanka wioski oddalonej o jakieś dziesięć kilometrów od Towian. Do miasta pani Irena przyjeżdżała mniej więcej raz w tygodniu – rowerem z przyczepką, na zakupy. Sól, cukier, mąka, takie tam. Inne rzeczy miała własne, z ogródka albo od sąsiadów.

Zawsze zatrzymywała się na pogawędkę z Dyziem, którego niezmiernie lubiła i ceniła. Znała historię jego niewesołego życia i bardzo szanowała go za to, że mimo wszystko sobie radzi. I nie pije. Bo jej mąż, Stefan... niestety, był znanym w okolicy pijaczkiem.

– Jak Stefan? – zapytał Dyzio, oddając pusty termos. – Pyszna zupa. Pyszna, dziękuję bardzo – powiedział i szarmancko ucałował spracowaną dłoń pani Irenki.

– No, co ty... – Spłoniła się cała i wyszarpnęła mu rękę. – A Stefan jak Stefan. Bez zmian.

– Bo pamiętaj – powiedział Dyzio – gdyby on kiedyś coś ci zrobił albo choćby tylko chciał zrobić, ja tu jestem.

– Wiem, Dyziu, wiem – szepnęła Irenka. – Ale on zawsze jest spokojny, idzie spać i już. Tyle że nic nie zarabia. Dobrze, że Zdzisiek wrócił. Chociaż właściwie nie powinnam się z tego cieszyć, bo przecież załamało mu się życie.

– Oj tam, zaraz załamało – sapnął Dyzio. – Baba go rzuciła. Ma kłopot z głowy i tyle.

Irenka zaprzestała dyskusji.

Kulka, znudzona tą rozmową, z której nic dobrego dla niej nie wynikało, wyszła zza kiosku i pobiegła w stronę skwerku – tam, gdzie poprzedniego dnia nakarmiła ją taka miła pani. Niestety, dzisiaj tej pani nie było. Suczka poleżała trochę pod ławką, czekając, że może jednak się zjawi – nie zjawiła się jednak ani ona, ani nikt inny.

Pobiegła więc znowu na rynek, ale i tam nic dobrego się nie wydarzyło. Napila się więc tylko wody i potruchtała w stronę lasu.

Na biurku Katarzyny Janik, w bibliotece, rozdzwonił się telefon.

– Biblioteka miejska, dzień dobry, słucham – zgłosiła się uprzejmie.

W słuchawce coś zachrobotać, zachrzękało i odezwał się jakiś damski głos.

– Nie wiesz, ty głupia smarkulo, że naokoło jest tyle głodnych dzieci? – zapytała elegancko owa dama. – A ty jakiemuś brudnemu psu serdelki kupujesz! Tfu! – I połączenie zostało przerwane.

Katarzynka siedziała osłupiała, ze słuchawką w rękę.

– To wcale nie był jakiś brudny pies – powiedziała do głuchej już słuchawki. I po chwili, ku swemu zdumieniu, wybuchnęła płaczem.

W tym momencie do biblioteki wszedł Karol Majewski i widząc zapłakaną Kasię, przypadł do niej, pytając gorączkowo, co się stało.

Kasia, pociągając jeszcze nosem, opowiedziała mu o tym dziwnym telefonie.

– I wiesz – powiedziała – najdziwniejsze jest to, że tam, na tym skwerku w ogóle nikogo nie widziałam, dopiero ty podjechałeś samochodem i spłoszyłeś psa, czego do dzisiaj bardzo żałuję. A – powracając do tego telefonu – to czy widziałeś w naszym miasteczku albo w okolicy jakieś głodne dzieci? – spytała.

Rzeczywiście, Towiany nie były może najbogatszą gminą w kraju, jednak – co dość rzadko spotykane – gmina ta miała naprawdę wspaniałych gospodarzy, którzy bardzo o całe swoje „gospodarstwo” dbali. Przejawiało się to nie tylko w wyglądzie miasta, które było zawsze czyste, uporządkowane, ukwiecone i zadbane. Przejawiało to się też w dbałości o mieszkańców. Towiany miały nawet swój, wcale nie najgorszy, szpital i dwie przychodnie lekarskie, oprócz kilku prywatnych lecznic. Tutejsza szkoła stała na dobrym poziomie, władze gminne umiały pościągać dobrych nauczycieli, oferując im w miarę niezłe pensje i służbowe mieszkania. Szkolna stołówka serwowała smaczne i bardzo tanie obiady, a dzieciom z rodzin najuboższych posiłki wydawane były za darmo. Poza tym – przy stołówkowym okienku zawsze

stał koszyk wypełniony bułkami z jakąś wędliną lub serem – tak, żeby dziecko, które niestety nie dostało drugiego (czy w ogóle – pierwszego) śniadania w domu, mogło sobie wziąć taką buleczkę.

Pracownicy socjalni znali sytuację rodzin patologicznych – które były oczywiście i w Towianach, jak w całym kraju – i pomagali dzieciom z tych rodzin, choćby w ten sposób, że zapewniali im miejsce w przyszkolnej świetlicy, w której mogły przebywać do siódmej wieczorem, odrobić tam lekcje, zjeść jakąś kolację czy choćby pobawić się z kolegami.

Więc tak naprawdę szczególnie biednych czy głodnych dzieci w towiańskiej gminie nie było.

– Wiesz, Karolu – zastanowiła się Katarzyna – ta osoba usilnie chciała zmienić głos, ale jakoś wydaje mi się, że to pani Jadwisia.

– Gospodyni naszego księdza? – zdziwił się Karol. – Ale dlaczego? Co ona ma do ciebie? Albo do psów w ogóle? Choć, cóż, zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie nie przepadają za zwierzętami. Jednak z tego, co wiem, ksiądz Andrzej je lubi, przecież zawsze dokarmia różne bezdomne koty, a wokół plebanii wiszą w zimie karmniki dla ptaków. – Karol przytulił Kasię – Daj spokój, nie myśl już o tym; lepiej pomyśl, że zrobiłaś dobry uczynek, dając temu psu jeść. I bardzo mi przykro, że go wtedy wystraszyłem. Ale – ale, wpadłem do ciebie, bo spotkałem wczoraj panią Irenkę Malinkę i tak się jakoś o psach zgadało – bo wiesz, jej Zdzisiek przywiózł z Poznania dwa bardzo rasowe malamuty, psa i sukę, i ta suka będzie niedługo miała szczeniaki. Więc skoro zaczęliśmy rozmawiać o psach, opowiedziałem pani Irencie o tym naszym biedaku i ona mówi, że widziała go wczoraj na rynku. Leżał za kioskiem, czyli tam, gdzie go nakarmiłem, i jakby czekał na mnie. Patrz, jaki mądry. Ale ja wczoraj byłem cały dzień z mecenasem we Włocławku.

– Oj – ucieszyła się Kasia – to może i dzisiaj tam go znajdziemy?

– No właśnie wpadłem, żeby ci to powiedzieć, bo teraz obszedłem cały rynek, ale nigdzie go nie ma. A zaraz znowu do Włocławka jadę, więc może ty potem tam zajrzysz.

– Tak zrobię – obiecała Kasia.

Małamuty – pomyślała. – U Malinków, no, no, świat staje na głowie!

A ten „przemily” telefon do Katarzyny wykonała rzeczywiście pani Jadwisia, gospodyni księdza.

Pani Jadwisia nie była z gruntu złą kobietą, była natomiast bardzo zgorzkniała. Życie jej się nie ułożyło, miała kiedyś męża, ale sto lat temu od niej odszedł i nie zadając sobie nawet trudu, żeby się rozwieść, ułożył sobie nowe życie gdzieś na Pomorzu. Zresztą pani Jadwisia świeckich rozwodów i tak nie uznawała. Poza tym żaden rozwód nie był jej potrzebny, raz na zawsze bowiem zraziła się do mężczyzn i jedynymi przedstawicielami rodu męskiego, jakich akceptowała, byli księża. Od wielu lat pracowała na plebanii jako gospodyni, „przeżyła” już kilku proboszczy, a teraz, u księdza Andrzeja, pracowała szósty rok. Na ogół ich stosunki dobrze się układały, pani Jadwisia przyznawała, że ksiądz Andrzej jest bardzo dobrym człowiekiem. Jedyne, co miała mu do zarzucenia, to to, że był, jej zdaniem, za dobry. Przymykał niejednokrotnie oko na drobne grzeszki swoich parafian, chrzczył na przykład nieślubne dzieci, nie gromił z ambony nieformalnych związków (a to był dla pani Jadwisi grzech największy), nie wyganiał z kościoła przeróżnych pijaczków i łobuzów, których – jak to wszędzie – nie brakowało i w Towianach.

No i „wyrzucał” pieniądze, karmiąc różne zwierzęce przybłądy, bezdomne psy, koty, ptaki. Pani Jadwisia podejrzewała nawet, że dokarmia też żaby i ślimaki w ogrodzie, bo nigdy nie pozwolił jej zabić żadnego takiego paskudztwa.

– To wszystko są stworzenia boże, pani Jadwisiu – tłumaczył jej cierpliwie. – I mają prawo do życia.

Pani Jadwisia jednak wiedziała swoje i zawsze ukradkiem, te żebrzące „stworzenia boże” spod plebanii przeganiała.

I dzisiaj właśnie zobaczyła, jak ksiądz Andrzej karmi kotлетem, swoim obiadem – przez nią, Jadwisię, przyrządzonym – jakiegoś kudłatego czarno-białego psa.

Psem tym była Kulka właśnie, która w poszukiwaniu czegoś do jedzenia zawędrowała w okolice plebanii. Dzień był piękny, ciepłutki, więc ksiądz Andrzej wyniósł sobie talerz z drugim daniem na werandę, by zjeść obiad na świeżym powietrzu. W pewnej chwili poczuł na sobie czyjś intensywny wzrok. Rozejrzał się i dostrzegł kudłatego psa o przybrudzonej nieco i zmierzwionej sierści, świadczącej o chwilowym przynajmniej braku opieki nad zwierzakiem. Pies wpatrywał się uporczywie a to w księdza, a to w jego talerz – przy czym w talerz częściej i bardziej uporczywie.

Cóż, ksiądz Andrzej od razu zrozumiał, że kolejne „stworzenie boże” wymaga pomocy. Rzucił więc Kulce swój kotlet i na tę scenę weszła właśnie pani Jadwisia, wracająca z zakupami ze sklepu. Strasznie ją to rozsierdziło, bo właśnie rano ksiądz żalił się, że wpływy z tacy jakoś ostatnio maleją, a kościelne organy naprawdę już bardzo pilnie wymagają konserwacji. No i tyle wynikło z tej rozmowy, że ksiądz w dalszym ciągu pieniądze po prostu wyrzuca.

Pies, wystraszony energicznym „a sio!” pani Jadwisi, uciekł, ale oczywiście z kotлетem. Drugiego nie było i pani Jadwisia postanowiła, że nic innego księdzu do jedzenia nie da. Żeby rozładować nadmiar złej energii, która ją roznosiła, postanowiła zadzwonić do tej głupiej bibliotekarki, która widziała wczoraj przed sklepem na skwerku, jak karmiła serdelkami tego samego psa. Co też uczyniła...

Nie dało jej to jednak dostatecznej satysfakcji. Poczula nawet coś jakby w rodzaju wyrzutu sumienia, ale otrząsnęła się zaraz z tego dziwnego wrażenia.

\*

Wczoraj udało się więc Kulce zapełnić trochę brzuszek tym kawałkiem kotleta, który dostała od takiego miłego pana, jedzącego obiad na werandzie. Ale dziś był nowy dzień i znowu należało się postarać o jakieś jedzenie. Tym bardziej że ten wczorajszy posiłek nie był zbyt obfity.

Suczka więc wygrzebała się ze swojego leśnego legowiska i potruchtała w stronę miasta. Najpierw zajęła swoje strategiczne miejsce, w cie-

niu kiosku, na rynku. Wczoraj szukała jej tam Katarzynka, nie znalazła jednak, bo suczka „obiadowała” na plebanii; teraz jednak Katarzyny nie było. Nie było też Karola, który jeszcze i dziś musiał być we Włocławku.

Przed „Rybeńką” siedział oczywiście pan Dyzio, a ludzie wchodzili i wychodzili z restauracji, nikt jednak nie spojrzał nawet w stronę suczki. Cóż, leżała więc i obserwowała, co się dzieje.

Na skwerku z fontanną, na ławeczkach, siedzieli stali bywalcy i gawędzili ze sobą. Odpoczywali tam też turyści i właśnie teraz usiadł sobie na jednej z ławeczek pewien pan, tak na oko – sześćdziesięcioletni. Położył obok plecaczek i wysunął nogi przed siebie, wystawiając twarz do słońca.

A po Towianach snuł się, znudzony wielce, Edek Maliniak. Nie miał z kim się napić piwa, bo jego brat, Ludwik, najlepszy kompan i współtowarzysz, leżał dzisiaj w domu półprzytomny, trzeźwiejąc i wietrząc głowę po wczorajszej libacji w „Barku”. Edka na tej libacji nie było, gdyż Renata, jego żona, kazała mu wreszcie naprawić drzwi wejściowe, które od momentu pewnego zbytnio energicznego zatrzęsnięcia, przestały się zamykać. Trzęsnięcie było Edkowe, więc Edek, wściekły jak sto os, uznał jednak, że mimo wszystko drzwi naprawić trzeba. I że powinien to zrobić on. Ominęły go więc wczorajsze wieczorne atrakcje i dzisiaj wręcz źle się czuł – taki kompletnie trzeźwy od tyłu godzin.

Przyszedł więc do Towian, w nadziei że spotka jakąś życzliwą duszę, która chociaż jedno piwo mu postawi, bo sam nie miał grosza. Renata wczoraj nie dosyć, że kazała mu te drzwi naprawiać, to jeszcze na dodatek, w czasie gdy Edek zajęty był robotą, przetrzepała mu kieszenie i pozabierała wszystkie drobne, jakie znalazła. Dużo tego nie było, ale na jakieś piwo pewnie by starczyło. Może nawet na dwa. Teraz jednak nie miał nic.

W dodatku wszyscy jego kumple jakby pod ziemię się zapadli, widocznie też – jak Ludek – odsypiali wczorajszą libację.



Edek wszedł na skwerek i spostrzegł, że tuż obok, rozciągnięty na ławeczce siedzi jakiś starszy gość i opala się z zamkniętymi oczami, a obok niego leży plecaczek. No, takiej okazji nie można było przecież przegapić. Edek złapał plecaczek i puścił się biegiem, a siedzący na ławeczce wyczuł jakiś ruch i otworzył oczy, Natychmiast spostrzegł brak swojej własności i łobuza uciekającego z plecaczkiem.

– Złodziej! – rozdarł się wniebogłosy poszkodowany. – Na pomoc! Policja!

Policji jednak – tak na zawołanie – w okolicy nie było, Edek gnał więc przed siebie, rozradowany zdobytym łupem. Nagle poczuł, że coś go łapie i ciągnie za nogawkę spodni.

Kulka jakoś instynktownie wyczuła, że ten, który tak ucieka, oglądając się za siebie, koniecznie powinien zostać złapany. Wyskoczyła więc zza kiosku i wczepiła się w Edkowe spodnie. To wystarczyło, żeby przytrzymać biegnącego i już dopadł go Dyzio, który zerwał się po pierwszym okrzyku poszkodowanego turysty.

– Co, Maliniak, cudzego plecaczka ci się zachciało? – warknął na złodzieja, chwyciwszy go mocno za pasek spodni. – No to teraz oddasz go temu panu i bardzo, ale to bardzo grzecznie pana przeprosisz.

Tak się i stało, jednak na tych przeprosinach się nie zakończyło, bo posterunkowy Kajdanowicz, zawiadomiony telefonicznie przez któregoś ze świadków zajścia, właśnie nadszedł i uprzejmym gestem zaprosił obu panów do samochodu.

A obserwatorzy całego zajścia zaczęli się rozglądać i szukać tego „bohaterskiego” psa, który złapał złodzieja.

Kulka jednak, przestraszona całym zamieszaniem, a najbardziej – gestami i tonem Dyzia, które, biedna, wzięła do siebie – po prostu uciekła.

I, niestety, choć została bohaterem dnia, nie udało jej się dziś zdobyć niczego do jedzenia.

## *Prawdziwy dom*

Pognała do „swojego” lasu i wbiegła między drzewa. Raptem coś bardzo ukłuło ją w łapę, aż pisnęła. Położyła się więc pod krzakiem i zaczęła sobie ostrożnie lizać to miejsce. W łapie tkwił kawałek szkła, który jakoś udało jej się wyciągnąć zębami. Cóż, obok leżała rozbita butelka. Tubylcy lubili czasami pobalować w cieniu drzew.

Kulka musiała po prostu na nią nadeprnąć, bo zrobiło się już dość ciemno i nie zauważyła szkła. Krew jej leciała i leciała, ale w końcu wylizała łapkę do czysta. Była jednak już tak zmęczona, że chyba po prostu zasnęła, bo gdy następnie otworzyła oczy, zrobiło się już jasno.

Pamiętając, że niedaleko stoi ten duży dom, podbiegła tam, pełna nadziei, że może dzisiaj ktoś tam będzie – nie znalazła jednak nikogo.

Postanowiła więc znowu wrócić na towiański rynek, mając nadzieję, że dzisiaj lepiej jej się powiedzie niż wczoraj. Była dość głodna, bo przecież poprzedniego dnia żaden „opiekun” jej się nie trafił.

Ale choć biegła cały dzień tam i tu, w jej sytuacji nic się nie zmieniło. Łapa bolała ją tylko coraz bardziej. Późnym popołudniem suczka wróciła więc w miejsce, które już dobrze знаła, pod „swoją” krzak, wśród gęstych drzew. Ułożyła się tam i zaczęła znowu sobie wylizywać tę zranioną łapę, gdy raptem wydało jej się, że słyszy warkot samochodu. Aut – od czasów porwania – panicznie się bała. Wcisnęła się więc głębiej pod krzak i obserwowała, co się dzieje.

Samochód – a właściwie dwa samochody, jadące jeden za drugim – zatrzymały się przed tym pustym domem. Z pierwszego wysiadł nieduży, okrągłutki pan, którym był mecenas Witkowski – z drugiego – jakaś sympatycznie wyglądająca pani, którą była Anna Towiańska, obecna właścicielka dworku, obejrzanego rano przez Kulkę.

Chodzili tam i z powrotem, w końcu pan mecenas wsiadł do swojego wozu i odjechał, a Anna została. Otworzyła domek i wniosła do niego jakieś rzeczy z samochodu, a po chwili poszła za dom i zniknęła.

Kulka leżała pod krzakiem, czekała i czekała, pełna nadziei, że może od tej pani dostanie coś do jedzenia. Ta pani jakoś szczególnie jej się spodobała, choć suczka nie wiedziała, dlaczego.

Ponieważ Anna nie wracała, Kulka ostrożnie obeszła dom i zobaczyła, że ta pani siedzi na jakimś pniaku nad jeziorem. Siedzi, trzyma coś w rękę i... je!

To, co jadła, nie pachniało jakoś szczególnie ekscytująco, ale przecież... było jedzeniem.

A ona, Kulka, nie jadła nic już drugi dzień.

Ostrożnie wysunęła się z krzaków i podeszła bliżej. Anna usłyszała coś i obejrzała się. Kulka chciała odskoczyć i schować się wśród drzew, ale zraniona łapka, zaboląła ją tak, że suczka usiadła, trzymając łapę w górze.

– O, piesek – powiedziała Anna. – Co, biedaku, pewnie głodny jesteś? – zapytała cicho.

Kulka pomachała więc nieśmiało ogonkiem, a Anna podniosła się z pniaka i podeszła powoli do niej. Suczka uznała, że nie musi uciekać, Anna pachniała jakoś tak, no – jakoś tak, jakby lubiła psy.

Kulka rozpląszyła się więc na ziemi i nie odrywała spojrzenia od tego czegoś do jedzenia, co ta pani trzymała w rękę.

Kawałek tego czegoś Anna odłamała i wyciągnęła w stronę suczki.

– Zjesz to? – spytała – Nie mam tu nic innego.

Kulka podpełzła bliżej, łapiąc w locie rzucone w jej stronę jedzenie. Połknęła, nawet nie wiedząc, co je. Niestety, znowu oparła się na zranionej łapce i aż pisnęła z bólu.

– Pokaż łapkę, piesiu, pokaż. – Anna ostrożnie podchodziła bliżej, ale suczka była już całkowicie pewna, że nie musi uciekać. Trochę tylko się trzęsła, raczej ze zdenerwowania, nie ze strachu. Strachu nie czuła żadnego, bo Anna zachowywała się spokojnie, nie krzyczała, nie wymachiwała rękami i ładnie pachniała. Ukucnęła obok Kulki i zaczęła delikatnie, łagodnie gładzić ją po łbie. Tak więc suczka po chwili zupełnie przestała drżeć.

Anna obejrzała jej zranioną łapkę i aż się skrzywiła.

– Oj, piesiu, co my tu mamy! – powiedziała. – Łapka jest mocno opuchnięta, ale ja ci nie mogę pomóc. Tu jest niezbędna interwencja fachowca. No, piesku, jedziemy do lekarza – oznajmiła. – Pójdziesz ze mną? – spytała, odchodząc kawałek.

Suczka nie ruszyła się z miejsca.

– No chodź. – Klepnęła się ręką w udo, ruchem, który powinien być znany każdemu psu.

Oczywiście Kulka wiedziała przecież, o co chodzi, ale łapka bolała ją tak, że nie mogła się ruszyć. Zrobiła więc bardzo smutną minę i Anna od razu zrozumiała, o co chodzi. Podeszła więc do psa i wzięła go na ręce, nie myśląc nawet o tym, że zwierzak mógłby ją ugryźć. Kulka jednak nie miała najmniejszego zamiaru gryźć, przeciwnie, z szerokim zamachem liźnęła w nos swoją nową opiekunkę i wtuliła pysk w jej szyję.

Suczka została wsadzona do samochodu, przeciwko czemu w ogóle nie protestowała, podświadomie czując, że Anna nie zrobi jej krzywdy.

Podjechały pod „Rybeńkę”, przed którą oczywiście dyżurował pan Dyzio.

Zobaczywszy samochód Anny, podbiegł i elegancko otworzył drzwi.

– *Uważaj, bo jak coś zrobisz mojej pani, to cię ugryzę* – ostrzegła go uczciwie Kulka, w jej języku, z tylnego siedzenia.

Dyzio odskoczył gwałtownie.

– A co to za brudas zawszony? – wrzasnął.

– Jeżeli już, to raczej zapchlony – odruchowo sprostowała Anna.

*Ja? Zapchlona? W życiu żadnej pchły nie miałam*, pomyślała oburzona Kulka, oczywiście rozumiejąc przecież wszystko, co mówili ludzie. Psy na ogół znają ludzki język – to tylko ludzie nie rozumieją, co psy do nich mówią.

Niektórzy ludzie, a do takich należała bez wątpienia Anna, psi język jednak rozumieli. Anna w ogóle bardzo kochała psy i z miejsca z każdym się dogadywała, ponieważ знаła i rozumiała ich zachowanie, a zwierza-

ki odwzajemniały jej się zaufaniem, instynktownie wyczuwając, że stoi przed nimi osoba, w której ręce można się oddać z całym spokojem.

Tak też zachowała się Kulka.

– Cicho, piesku, ten pan nic złego nie chce zrobić ani mnie, ani tobie. Rozmawiamy sobie tylko.

Pan Dyzio wytłumaczył Annie, którędy dojechać do weterynarza, ruszyła więc z impetem spod „Rybeńki”.

Przed lecznicą zatrzymała samochód i wysiadła, zostawiając Kulkę w środku.

– Zostań tu – poleciła, widząc wyraźne zaniepokojenie psa tym, że wyszła z samochodu – zostań, zaraz wrócę.

Kulka jednak martwiła się tym, że została sama, więc stojąc na trzech łapkach, patrzyła przez szybę w oknie samochodu, co się dzieje.

Anna podeszła do jednych drzwi, chwilę przed nimi powstała, a potem weszła gdzieś, innymi drzwiami i biedna suczka nie widziała już, gdzie jest i co robi ta pani. Na szczęście po chwili wyszła i wróciła do samochodu. Gdy otworzyła drzwi, Kulka, zapominając o bolącej łapce, rzuciła jej się na szyję ze szczęścia, machając ogonkiem tak szybko, jak tylko to możliwe.

– No, dobrze już, dobrze, piesku – wzruszyła się Anna – myślałeś, że cię porzuciłam, tak?

Wypuściła Kulkę z samochodu i poszła w stronę ławeczki, stojącej obok. Zapomniała widocznie, że psa boli łapka. Ale zauważyła, że zwierzak chce wskoczyć na ławkę, żeby być obok niej – i nie może, chociaż próbuje.

– Piesku, co ty robisz? – zdziwiła się Anna. – Ach, chcesz na kolana – domyśliła się po chwili. – No dobrze, biedaku, chodź tu. – Pochyliła się, podniosła suczkę i usadowiła obok siebie, dając jej kupioną przed chwilą kiełbasę. Kulka połknęła ją w trzech kęsach, prawie nie gryząc. Potem położyła się na ławce i przytuliła do Anny, wzdychając ze szczęścia.

Czekały na pana weterynarza, który zostawił na drzwiach kartkę, że wraca za chwilę, i rzeczywiście, po kilku minutach przyszedł. Anna

przedstawiła się, wyjaśniła, skąd ma tego psa – i dlaczego przywiozła go do lecznicy.

Weterynarz, Grzegorz Skalski, zastępujący chwilowo swojego przyjaciela, który udał się na urlop, po wstępnych oględzinach, wyjaśnił Annie, że ten kudłaty, brudny zwierzak, to suczka, nie pies. Anna bardzo się z tego ucieszyła.

– Suczka – powiedziała. – A ja w ogóle tego nie zauważyłam, oglądałam tylko jej łapkę.

Grzegorz opatrzył zranioną łapkę i zaaplikował pacjentce antybiotyk, okazało się bowiem, że suczka ma trochę gorączki.

Ustalili, że z powodu tej gorączki suczka na razie zostanie u Grzegorza na obserwacji, a Anna następnego dnia przyjedzie ją odebrać.

*Jak to jutro? Dlaczego? Ja chcę być z nią, u niej, na zawsze*, pomyślała zdenerwowana Kulka. *Ale czy psa kto pyta?* – nastroszyła się.

Rzeczywiście, psa (ani suczki) nikt nie pytał, Anna zostawiła ją i pojechała. A Grzegorz zamknął Kulkę w takiej sporej klatce, wygodnej wprawdzie, z miseczką wody i miseczką jedzenia – i poszedł sobie.

Suczka zaczęła więc głośno protestować. Płakała i płakała, aż wreszcie Grzegorz przyszedł, spojrzal na nią i zrozumiał, że tęskni do Anny.

– Chcesz do pani, tak? – spytał. – Właściwie ja też chcę, wiesz? W takim razie jedziemy.

Wsadził Kulkę w samochód i po kilku minutach zajechali pod dom Anny. Suczka pierwsza wyskoczyła z samochodu i pobiegła jej szukać. Po chwili znalazła Annę za domem i skoczyła na nią, piszcząc głośno z radości.

Anna także wyglądała na ucieszoną, bo przytuliła mocno Kulkę i spytała Grzegorza, który wyłonił się zza domu, skąd wiedział, gdzie ma przyjechać.

– No, przecież powiedziałaś, że odziedzyczyłaś Sosnówkę – odparł Grzegorz. – Kobieto, czy ty naprawdę nie wiesz, jakie tu są ryby?! Każdy wędkarz w okolicy wie, gdzie jest Sosnówka. Teraz pewnie poprzeganiasz wszystkich amatorów wędkowania – zmartwił się nieoczekiwa-

nie weterynarz. – A przy okazji musisz mi ze szczegółami opowiedzieć, jak to się stało, że tu przyjechałaś.

*Bardzo dobrze się stało*, pomyślała Kulka i przytuliła się mocno do kolan swojej pani. Bo miała nadzieję, że to już na pewno będzie jej pani.

Anna pogłaskała ją po łebku, mówiąc:

– Śliczna sunia, grzeczny, mądry pies!

Grzeczny, mądry pies zaczął tańczyć swój specjalny taniec radości.

– Suniu, już dobrze, połóż się na chwilę – powiedziała pani. – Przecież masz skaleczoną łapkę.

Ale łapka chyba już mniej bolała, gdyż suczka kręciła się żwawo wokół Anny, nie bacząc na tę łapę, owiniętą teraz już przybrudzonym bandażem.

– Szyszka – powiedziała nagle Anna. – Spójrz, Grzegorzu, czy ona nie wygląda jak sosnowa szyszka? Tak będzie miała na imię.

– Szyszka! – zawołał weterynarz zdecydowanym głosem, więc suczka natychmiast podbiegła do niego. – Chyba jej się podoba, spójrz zareagowała od razu – dodał.

*Spodobano mi się imię „Szyszka”.* Było takie... leśne, pasujące do tego domu. Całe szczęście, że pani Anna nie mogła znać mojego poprzedniego imienia. „Kulka” brzmi, no, niezbyt mądrze, ucieszyła się Kulka – nie, już nie Kulka, tylko Szyszka!

Grzegorz w zasadzie nie widział specjalnego podobieństwa psa do szyszki, ale skoro Annie tak się wydawało, to przecież nie miał nic przeciw temu. Podrapał Szyszkę za uchem i powiedział:

– Naprawdę śliczna z niej panienka. Jest taka puszysta, bo ją wykąpałem – wytłumaczył Annie – Założyłem jej też przeciwpchelną obrózkę. A, wiesz, gorączka już jej spadła. Myślę, że ten skok temperatury był raczej wynikiem stresu, nie choroby. Ale antybiotyk musi dostawać jeszcze przez trzy dni.

*Zrozumiałam z tego, że jeszcze przez trzy dni będę dostawać zastrzyki. Ale, jeśli mam tu zostać, mogę znieść wszystko, nawet zastrzyki*, pomyślała świeżo adoptowana Szyszka.

Potem Grzegorz pojechał, a Szyszka jeździła ze swoją panią na zastrzyki. Przestała się już tego bać, bo – po pierwsze – nie bolało, a po drugie – zawsze potem dostawała w nagrodę taki pyszny patyczek do gryzienia.

Pewnego dnia do domu Anny przyjechała ekipa braci Koniecznych, którzy podjęli się wyremontowania dworku. Jeden z nich, Jacek, spojrział na Szyszkę i spytał Annę, skąd ma tego psa.

– Pytam – wyjaśnił – bo kilka dni temu przez miasto przejechał taki, wiecie, super-hiper mercedes-bęc i z tej super-hiper bryki wyleciał fu-trzany kłębek. Przeleciał jak kula przez ulicę i zaczął gnać za tym autem, biedaczek. Ale po samochodzie nie został ślad. Nikt nie zauważył numerów, więc nie mogliśmy nic zrobić. Aż mnie skręciło i gdybym tego łobuza dorwał, to byłoby i po nim, i po mercedesie, choć samochód w niczym nie zawinił. Ale na ogół to niewinni obrywają – Jacek strasznie się zaperzył. – I ta psina gdzieś pokuśtykała, może to ona. – Machnął ręką w stronę Szyszki.

Anna natychmiast usiadła na podłodze i przytuliła suczkę tak mocno, że ta aż zaskomlała, trochę zaniepokojona.

– No, cicho, cicho, moje biedactwo. Taki podlec, z samochodu cię wyrzucił, to bydlak jeden, och, biedna, biedna sunia. – Anna miała łzy w oczach.

Szyszka – wyczuwając smutek swojej pani – zaczęła cicho popiskiwać i wyrwawszy się z objąć Anny, polizała ją serdecznie po twarzy.

– No, już dobrze, piesku, już dobrze – powiedziała pani. – Teraz jesteś moją ukochaną sunią i nigdy cię nikomu nie oddam.

*Nie odda! Nikomu nie odda! W tej właśnie chwili poczułam, że narazie trafiałam do domu.*

*Do prawdziwego Domu, z którego nigdy nikt mnie nie wyrzuci!*

*I teraz tu mieszkam. Jestem Szyszka z Sosnówki.*



Więcej o niezwykłych losach Anny Towiańskiej, jej rodziny, Sosnówki i porzuconej Szyszki przeczytacie w książce Marii Ulatowskiej „Sossnowe dziedzictwo”, ciepłej, pachnącej sosnami opowieści o kobiecie, której przeszłość zgotowała najwspanialszą niespodziankę – pomogła odnaleźć własne miejsce na ziemi. To historia, o której pomyślicie: chciałabym, żeby była moja...

Anna Towiańska niespodziewanie zostaje właścicielką Sosnówki, pięknego, starego dworku na Kujawach. Odziedziczony po matce, która nie wiedziała o jego istnieniu, opuszczony i zaniedbany dom wymaga solidnego remontu. Anna postanawia przywrócić mu dawną świetność. Odkrywając malowniczą Sosnówkę, przygarnia porzuconą psinę i poznaje sympatycznych mieszkańców pobliskiego miasteczka. Samozwańczy parkingowy Dyzio, pilnujący porządku na rynku, przystöjny weterynarz Grzegorz, Jacek, właściciel firmy remontowej i mały Florek, szukający ciepła i miłości – wszyscy oni są pod urokiem nowo przybyłej, prześlicznej „dziedziczki z Sosnówki”. Nic więc dziwnego, że Anna postanawia zostać na Kujawach na dłużej.

Copyright © Maria Ulatowska, 2011

Projekt okładki  
Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce  
© fotolia.com

Warszawa 2011

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
www.proszynski.pl